

Kronika tygodniowa.

Rozpaczam pisanie w poniedziałek dnia 20 lutego o godz. 9 rano. Podaję tę datę i dlatego, abym przykładał nadzwyczajną wagę do niniejszej kroniki, ale dlatego, że pragnę się usprawiedliwić, dlaczego sprawę zawalenia się trzeciego mostu na Wiśle pod Krakowem, mogę ocenić jedynie z konserwatywnego punktu widzenia. Przyczyna tej jednostronności tkwi w tem, że z dwu dzienników, jakie wychodzą w niedzielę rano w Krakowie, tylko konserwatywny *Czas* przyniósł obszerną wiadomość o zaszłej katastrofie, rozbalowana zaś *Nowa Reforma*, podając sprawozdania aż z czterech balów, nie miała czasu sprawdzić do rana, czy katastrofa miała miejsce (most zawalił się o godz. 12^{1/2} w nocy z soboty na niedzielę), a jako dziennik sumienny przemilczała o tem, czego nie wiedziała. Wskutek tego zmuszony jestem wierzyć, że ów most, „oczekiwany z niecierpliwością (?) jako najważniejsza (?) arteria komunikacyjna“ między Krakowem i Podgórzem, „runął nie z winy ludzkiej, lecz pod druzgoczącą potęgą siły żywiołowej“. Gdyby Wisła nie była pokryta się lodem i gdyby potem nie nastała odwilż, nie byłoby według *Czasu* katastrofy. Stąd nauka jasna dla budujących mosty, aby nie stawiali ich nigdy nad rzekami, które zamarzają, a potem odtajają, czyli mówiąc wyrażeniem specjalnie do rzek zastosowanym, naprzód „stają“, a potem „puszczają“.

Czy Dunaj stanął i puścił, nie wiem, ale za to nad Dunajem stanęli i puścili strumienie swej wymowy pokrzywdzeni srodze szynkarze galicyjscy. Jak można, wołali, pozbawić nagle trzy tysiące rodzin środków do życia, jak mogą ludzie wykształceni specjalnie w nalewaniu wódki do kieliszka porzucić to ulubione zajęcie i wziąć się do innego rodzaju pracy. W wołaniu tem było oczywiście kłamstwo, albowiem ci „nieszczęśliwi“ wiedzieli już od lat dziesięciu, że nadejdzie chwila, w której część pracowników na tej niwie społecznej będzie się musiała pożegnać ze „świętą karczmą“ i szlachetne trudy swego umysłu skierować na inne, mniej pożyteczne pola działalności publicznej. Więc „klęska“ nie spadła na nich nagle, a przez dziesięć lat można się nauczyć nawet astronomii, zostać doktorem filozofii, a cóż dopiero osiąść wiedzę szcucia butów, wprawiania szyb, stawiania pieców, wycierania kominów, robienia kluczów, oprawiania książek i t. d. A oprócz rzemiosł, przemysł i handel w swoich tysiącnych rozgałęzieniach stał otworem przed wypędzonymi z raju szynkwasowego. A i to błaga, aby ci „spirytyści“ skazani byli na śmierć głodową. Zaprzecza temu naprzód komunikat urzędowy, stwierdzający, że koncesyi nie udzielano przedewszystkiem tym byłym szynkarzom, którzy porośli w pierze, są ludźmi zamożnymi. Wiedzielibyśmy o tem i bez komunikatu. Oto n. p. świeżo jeden z tych nędzarzy, przbawionych chleba, przeniósł się do Krakowa i kupił dwie kamienice na Kleparzu. Biedacy nie wyruszyliby w 3000 osób na wyprawę do Wiednia, bo taka zabawka, lekko licząc, kosztowała 100.000 koron.

A właśnie w tym czasie, kiedy to pospolite ruszenie żydowskie szerzyło swój zapach w murach Windobony, zmarł w tem mieście jeden z największych biedaków żydowskich. Nieboszczyk Rotszyld pozostawił po sobie według jednego miliarda koron, a według drugich zaledwie 700 milionów. Przyszłaś czytelniku, że setna część tego spadku zrobiłaby ci bardzo dobrze — nietylko że miałbyś co zjeść, w co się ubrać i czem się przejechać; ale jakże wzrosłbyś w opinii publicznej! Zaręczam ci, że ludzie, którzy z powodu krótkości wzroku nie spostrzegają cię na ulicy, na sto kroków przed tobą wzrok by odzyskiwali i kłaniali się z takim uśmiechem, pełnym czułości i wniebowziętości, na jaki może się zdobyć zaledwie czterdziestoletnia dziewczica, kiedy klęcząc u stóp jej młodzian namiętnie szepcze: bądź moja, aniele! Niema stowarzyszenia, któreby nie chciało widzieć cię na swem czele. Mógłbyś być dyrektorem dziesięciu instytucji finansowych, prezesem dwudziestu towarzystw naukowych i społecznych, członkiem honorowym zarówno T. S. L., Sokola, „Kropki mleka“, Z. P. Z. M. P. (Związku polskich zbieraczy marek pocztowych), jak Cymes Makagige, Syon blebamme, Miszygene Kapores i t. d. Dośćby ci było powiedzieć, że chcesz być radcą miejskim, a wybrałaby cię natychmiast tak mała jak i większa własność, tak mała jak i większa inteligencja (naturalnie jeżelibyś uzyskał zatwierdzenie żydów, o co przy twoim majątku nie byłoby ci trudno). A gdyby obecny prezydent kiedy zrezygnował, uznanano by cię za jedyne go poważnego kandydata

na fotel prezydyalny. Również i pierwszy wakujący mandat do sejmiku lub rady państwa złożyliby niezależni wyborcy w twoje godne ręce, jeżelibyś swą wdzięczność agitatorom, gotówką lub czekiem, naprzód wyraził.

Ale, mówiąc między nami, te przypuszczenia, na znajomości stosunków oparte, wlaży jak Piłat w Credo do mojej kroniki. Należy do niej tylko fakt, że Rotszyld umarł, że zostawił około miliarda i zapisał na cele dobroczynne 2 miliony koron, to jest co najwyżej swój dochód półmiesięczny. Ten zapis nie potwierdza sławy wielkiego filantropa, jakiej za życia używał. Czy nim był, to także pytanie. W tych wypadkach nie stanowi wysokość sumy, lecz stosunek jej do majątku, lub dochodów jednostki. Ładnie na oko wgląda suma np. 2000 k. dana przez J.W. hrabiego X. niż 20 koron na ten sam cel przeznaczonych przez biednego urzędnika — ale w rzeczywistości J.W. hrabia X., posiadający kilkanaście milionów majątku, a pół miliona dochodu, nie odczułby zupełnie żadnej różnicy dając i dziesięć razy tyle, a ów biedny urzędnik musiał na tem lub owem oszczędzić, odmówić sobie jakiejś potrzeby czy przyjemności, aby te 20 koron nie nadwyrężyły jego budżetu. Pierwszy z tych panów dobrze zrobił, że coś dał, bo mógł nic nie dać, ale dopiero datkę drugiego jest tym „groszem wdowim“, co będzie „w górze“ zapisany.

Z tego punktu widzenia zpatrując się na filantropię bogaczy widzimy, że nawet ich wielka napozór filantropia jest małą w rzeczywistości. Gdyby Rotszyld wydawał był milion rocznie na cele publiczne, wydawałaby mniej niż jeden z nas chudopachołków, dający rocznie kilkadziesiąt, do stu co najmniej, koron już na same wkładki do instytucji filantropijnych, społecznych i patriotycznych. A przecie rzadko kto na tem poprzestaje — drugie kilkadziesiąt do stu koron jak nic pójdzie na te same cele. A choć paręset koron dla każdego z nas to suma poważna, nikt z nas przecie nie uchodzi za filantropa. Filantrop to Staszyc, co żył ubogo, a milionowe czynił fundacye. Takich, co prawda, za dni naszych nie mamy, ale Kraków nie tak dawno jeszcze posiadał w swych murach s. p. Żółtowskiego i s. p. Henryka Jordana. Pierwszy, żyjąc jak biedak, wydał sto kilkadziesiąt tysięcy reńskich na cele publiczne, drugi dwie trzecie swego zarobku (nie dochodu z kapitału) przeznaczał na to, co uważał za potrzebne dla społeczeństwa. To byli prawdziwi filantropi, choć nie Rotszyldzi.

A wiecie państwo, co znaczy miliard majątku rotszyldowskiego wobec naprzykład ankiety nędzy żydów w Galicyi? Rodzin żydowskich ma Galicya około 200.000, a z tych w nędzy jest rodzin 20.000, a choćby 30.000, powiedzmy nawet 50.000. Otóż gdyby miliard rotszyldowski podzielić pomiędzy te rodziny, to każda z nich otrzymałaby 20.000 koron. Majątek więc jednego człowieka wystarczyłby, aby cała galicyjska ludność żydowska stała się względnie zamożną, ab/ ani jednego nędzarza między nią nie było.

A czemuż są owe 2 miliony Rotszylda zapisane na cele dobroczynne, wobec 250.000 rb., co znaczy około 640.000 koron, złożonych przez p. Maryę Roesslerową na szkołę polską w Warszawie. Jej zapis to nie zapis po śmierci, lecz za życia. A jej cały majątek to tysięczna część majątku rotszyldowskiego — gdyby więc była dobroczynną w tym stosunku co Rotszyld, zapisałaby 2000 koron. A zapisała 320 razy więcej. Oczekuj więc za to i chluba dla nas, że polska obywatelka okazała się 320 razy ofiarniejszą, niż głośny z filantropii miliardier wiedeński.

Przepraszam czytelników, że tak długo zająłem ich Rotszyldem, ale to tak przyjemnie choć na papierze szastać krociami i milionami. Obawiam się, czy tę przyjemność czytelnicy podzielają i czy który z nich, będący na mniejszą skalę filantropem à la Rotszyld, nie obrazi się za moje uwagi. Podstawę do tej obawy mam w kilku listach, które nadeszły do redakcji z protestem przeciw moim zapatrywaniom na szulerkę. Jeden z nich przytaczam w całości:

„Szanowna Redakcyo! Kronikarz wasz, pisząc o zawodowych szulerach, okazał wielką niezajomość rzeczy, czego dowodzi samo lekceważenie naszego artysty.

„Panu temu zdaje się, że dość jednemu z nas sięść na godzinkę do zielonego stolika, a zaraz płyną setki do naszej kieszeni. Drogi panie, to nie tak łatwo idzie, jak ci się wydaje.

„Przedewszystkiem, ile to lat musisz poświęcić, przysięgając artysty tego ciężkiego fachu, zanim nabierzesz zimnej krwi, rozważ i znajomości ludzi. Bez tej ostatniej, trudno ci się zorientować, czy twój przeciwnik ma złe lub dobre karty, — a bez zimnej krwi mógłbyś przegrać i... kalesony. Pierwsze lata

w naszym artyzmie to twarda szkoła, ba! nie tylko twarda ale i kosztowna, boć przecież jako początkujący musieliśmy dobrze zapłacić starym artystom za naukę.

„Dziś, co prawda, odnosimy korzyści z naszych studyów, ale wobec ogólnej t. zw. bryndzy, niema mowy o zrobieniu majątku. Przed kilkunastu, a nawet jeszcze przed kilku laty, można było sobie coś uciulać i jest też między nami paru cieszących się poważnymi owocami swego talentu i swych trudów. Ale dziś! — ot mamy tyje, że ledwie na skromne utrzymanie wystarczą.

„A i te drobne dochody, jakimż poświęceniem czasu i zdrowia opłacić należy? Niżej niepodpisany miał w r. z. 128 seansów, z których zaledwie 12 ukończyło się o godz. 1 po północy. Większość ich trwała do godz. 4 lub 5 rano, a było i takich 37, które zakończyły się dopiero o godzinie 7 a nawet 8 rano. Ileż to nocy nieprzespanych, ile pracy umysłowej, ile targania nerwów!

„A rezultat? Jak ferbla kocham — nędzne 5800 k. t. j. dwa razy mniej niż ma pierwszy lepszy profesor uniwersytetu! a mało co więcej nad to, co ma pierwszy lepszy profesor gimnazjalny za 3 godziny dziennie, spokojnie wśród bębnow spędzone.

„Ba! a wydatki? Czyż można zadarmo siedzieć. Niczem się nie pokrzepiwszy, czy to darmo dadzą koniak, wino, przekąsek?

„A kłopot w domu z „babą“, która narzeka, że się ją lekceważy, że się jej życie zatrzuwa, że ona nie na to wyszła za męża, aby mąż włóczył się po nocach!

„I jeszcze za to *Nowości* nam wymyślają. Pano wie! gdzie sprawiedliwość, gdzie miłość bliźniego, gdzie uznanie dla ciężkiej pracy?

„Żeby był młodszy, dawno bym ten niewdzięczny fach porzucił i postarał się o wybór na posła, co (vide Stapiński, Fidler, Paduch...) wcale nieźle się opłaca...”

Na tem kończy się ten list pisany krwią i łzami. Zmieniam więc moją opinię o szulerach i odtąd uważać ich będę za ludzi ciężkiej pracy, niedostatecznie przez społeczeństwo zrozumianych i wynagradzanych.

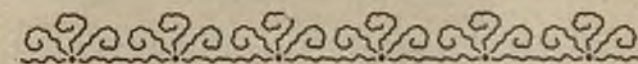
Tylko niech czytelnik nie bierze przypadkiem na seryo tej mojej sympatii do szulerów. Zdawałoby się, że zastrzeżenie zbyt, a jednak niestety konieczne.

Oto redakcja *Nowości* (rzecz autentyczna) otrzymała list od jednego z prenumeratorów, człowieka na poważnym stanowisku, który wziął na seryo wstęp z mojej kroniki o Zimmermanniadzie (nr. 6) i jest przekonany, że teologię uważam za „okropność“, wybór profesorów przez Wydział za „niesprawiedliwość“ i że przyznają uczniom medycyny większe znawstwo teologii, niż profesorom tego przedmiotu.

Ponieważ z listu tego przebija dobra wiara, i miłość sprawy, nie chcę zbywać go drwinami, a poprzestaję na przypomnieniu jego autorowi, że „istnieje figura zwana ironią“. Wyrazy w cudzysłowie są wyrazami Bolesława Prusa, na którego napadnięto świeżo za to, że Wołyn, Podole i Ukrainę nazwał (ironicznie) „miejscowościami rdzennie rosyjskimi“. Pocziwy Prus złapał się za głowę, że są ludzie, nie znający się na ironii i z rozpaczą pyta: na co praca całego mego życia, kiedy nie jestem zrozumiany, kiedy można mi podsuwać podobne zapatrywania?

Kronikarz *Nowości* dziwi się Prusowi, że wziął tak do serca naiwność ludzką — i dlatego nie rozpacz, lecz uśmiecha się pobłażliwie.

Nową zdobyczą wiedzy lekarskiej jest „Epilepticon“, o którym powagi lekarskie najkorzystniej się wyrażają. Kto cierpi na epilepsję, taniec św. Wita, zaburzenia nerwowe, otrzyma próbkę bezpłatnie w aptece Fort. Gralewskiego w Krakowie 109.



Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

RESTAURACJA w HOTELU SASKIM w KRAKOWIE

z 5-ma stylowymi gabinetami.

Codziennie **KONCERT** muzyki salonowej.

